

Donna¹ Jusepa²

– Bakisie – oznajmiła ciotka³ Antonia, gdy tylko jej mąż, który właśnie wrócił z wioski, zasiadł przy palenisku – don Antine dwa razy po ciebie kogoś przysytał.

Na te słowa Bakis Fronte stanął prosto jak struna, marszcząc szerokie, szare brwi.

– Kiedy? – spytał.

– Rano i pod wieczór.

– I co mu powiedziałaś?

– Na litość Boską, a co miałam powiedzieć? Że dam ci znać, jak tylko wrócisz z owczarni.

Ciotka Antonia siedziała skulona przy palenisku i nie zwracając na siebie uwagi, śledziła niespokojnym wzrokiem każdy ruch męża, a gdy ten wyszedł, złorzecząc, cichutko zaszlochotała, zakrywając bladą, pomarszczoną twarz rękoma. Wuj Bakis, niemiłosiernie tupiąc okutymi buciorami po starym bruku, szedł zaś szybko długą, stromą ścieżką, która prowadziła z jego chatki u szczytu wioski do kościoła. Potem przeszedł przez dwie ciemne, cichuteńkie uliczki i stanął przed domem dona Antinego. Był to czarny, okrągły dom z małymi oknami o niezwyklej kształtacie, w których zamontowano żelazne pręty i żaluzje. Słychać było jedynie odgłosy nocnego wiatru hulającego w kominie; lecz gdy tylko wuj Bakis załomotał do drzwi, ze środka pięć lub sześć psów rozszczękało się ochryplymi, głuchymi głosami, a cały dom jakby zdrzął.

¹ W niniejszym tekście zdecydowano się na zachowanie w brzmieniu oryginalnym form *don* (używanej jako forma grzecznościowa w odniesieniu do Antinego, zajmującego wyższą pozycję w społeczności opisywanej przez autorkę) i *donna* (stosowanej wobec Jusepy w znaczeniu przede wszystkim ironicznym) w celu zachowania ciężaru semantycznego tych wyrażeń, którego nie oddałoby przełożenie ich na język polski (np. jako *pan* i *pani*). Tłumaczka przyłącza się tym samym do tradycji nieprzekładalności tych form w utworach włoskich lub rozgrywających się na terenie Włoch, stosowanej choćby w operze *Don Giovanni*, serii opowiadań Giovanniego Guareschiego poświęconej postaci proboszcza don Camilla czy w powieści *Ojciec chrzestny* Maria Puza, w której pojawia się postać szefa mafii, dona Vita Corleonego. Reguła ta nie odnosi się do przypadków, w których rzeczownik pospolity *donna* należałoby tłumaczyć jako *kobieta*, bez nacechowania emocjonalnego. Za nieprzekładalnością rzeczownika pospolitego i koniecznością utrzymania niedomestykowanej formy brzmienia rzeczownika przemawia również tradycja polska z takimi choćby tytułami, jak *Pan Tadeusz*, *Pan Jowialski*, a także mniej rozpoznawalnymi: *Panna Antonina*, *Panna Maliczewska*, *Akademia Pana Kleksa*.

² Jusepa – Giuseppa; Bakis – Bachisio; Antine – Costantino; Leledda – Angela (przyp. aut.).

³ Przypis ten, w którym Deledda rozwija używane w opowiadaniu lokalne odpowiedniki imion bohaterów, odczytywać można jako świadectwo chęci uczynienia tekstu zrozumiałym i przejrzystym dla czytelników spoza Sardynii poprzez zapewnienie im odpowiedniego kontekstu sytuacyjnego (przyp. tłum.).

³ Określenia *wuj* i *ciotka* (wł. *zio* i *zia*) w tym kontekście odnoszą się nie do sfery pokrewieństwa, ale stanowią swego rodzaju zwrot grzecznościowy, stosowany w Sardynii, a co za tym idzie, także i w utworach Deleddy, których akcja rozgrywa się na tej wyspie, wobec osób starszych (choć niekoniecznie bogatszych) i z tego tytułu poważanych w lokalnej społeczności (przyp. tłum.).

– Kto tam? – zawołał ktoś z domu.

– To ja.

– Jaki „ja”?

– Ja, Bakis Fronte. Jest don Antine?

Służąca otworzyła drzwi i zwróciła się do niego z uśmiechem:

– Niech cię diabli wezmą, musisz aż wybić te drzwi, żeby je otworzyć?

I zaprowadziła go zaraz do kwadratowego pokoju, w którym na tle żółtych ścian odznaczało się mnóstwo starych, dębowych, grubo ciosanych mebli.

– A... Jusepa? – spytał wuj Bakis, wpatrując się ostrym wzrokiem w służącą.

– Tam jest – odpowiedziała dziewczyna, wzruszając ramionami. Podążył za nią spojrzeniem; z jej postawy wyczytał, że się śmieje, i ogarnął go głuchy, bezsilny gniew. Niedługo potem wszedł don Costantino w czerwonych kapciach i czerwonej szlafmicy.

– Dobry wieczór, Bakis – rzekł obojętnie. Sprawiał wrażenie, że robi biedakowi wielką łaskę, zwracając się do niego w ten sposób.

– Dobry wieczór, don Antine – odpowiedział tamten, obracając głowę.

I przyglądali się sobie, zaskoczeni, oszołomieni, jak gdyby widzieli się po raz pierwszy.

Wuj Bakis, stary już i skrzywiony, wyglądał jak wynędzniały bies. Ponieważ nosił żalobę po siostrze, miał na sobie krótką czarną kurtkę z kapturem, który nasunięty aż na oczy odciągał mu głowę do tyłu, przez co wyglądał jeszcze bardziej ponuro, mrocznie i żałośniej niż zwykle.

Don Antine zaś, zarumieniony, z jasnymi wąsami, sprawił wrażenie dżentelmena i był nim w istocie; nie sprawiało to jednak, że jego nie dotykał ząb czasu. W kącikach jego żywych, błękitnych, przenikliwych oczu rozpościerała się siateczka zmarszczek i żadna ilość wina z jego piwnic, żadna ilość zboża i serów z jego spiżarni, żadne kobierce ukryte w jego skrzyniach ani zioła z jego pastwisk nie przywróciłyby mu na głowę wszystkich włosów, których na niej brakowało.

– Usiądźcie – zwrócił się do Bakisa, uderzając dłonią w oparcie krzesła. Ten jednak stał prosto, sztywno, z odwróconą głową. Srebrnawy płomień z niezwyklej, starej, miedzianoczerwonej świecy wydłużał się, dymił fioletowawo; znad sufitu kaptur Bachisa sprawiał wrażenie, że przypomina wzgórze.

Don Antine zresztą też patrzył w tamtą stronę i nie raczył nawet spojrzeć na biedaka. Ten zaś dalej milczał, aż wreszcie gospodarz przerwał ciszę.

– No, o co chodziło? Czemu szarpałeś się ze swoją pasierbicą Jusepą i groziłeś, że ją zabijesz, jeśli nie odejdzie ode mnie ze służby?

Bakis przygotował sobie stosowną odpowiedź, ale w tamtej chwili zapomniał o niej. Gmerał we wszystkich kieszeniach płaszczka, nadaremnie próbował jeszcze bardziej pochylić głowę do przodu, aż wreszcie odpowiedział złowieszczco:

– Ech, to jeszcze nic! Jeśli się będzie upierała, żeby tutaj zostać, naprawdę ją zamorduję; wyrwę jej serce z piersi⁴. A wie pan, don Antine, dlaczego tu przyszedłem?

⁴ Dla zachowania zgodności z regułami języka polskiego zdecydowano się na złagodzenie w przekładzie groźby Bakisa, który zapowiada jeszcze większe męczarnie Jusepie grożąc, że wyrwie jej serce przez piętę (oryg. *le faccio uscir il cuore per le calcagna*) (przyp. tłum.).

Nie dlatego, że dwa razy mnie pan do siebie wzywał. Po prostu miałem nadzieję, że to Jusepa mi otworzy. I wie pan, don Antine, chciałem wytarmościć ją za kudły i poczęstować znowu kijem, ale pomyślałem sobie: skoro jej panu tak bardzo na tym zależy, żeby aż dwa razy wezwać do siebie takiego biedaka jak ja i prosić go, by jego pasierbica pozostała u niego na służbie, to znaczy, że to wszystko, co mówię, to prawda i że pańska dusza jest przeklęta!

– Skończ z tymi kalumniami i zastanów się – przerwał don Antine, udając opanowanie (używał wobec Bakisa zamiennie form „wy” i „ty”, podczas gdy ten zwracał się do niego „wy” lub „pan”), drżał jednak w duszy na myśl o wspaniałych włosach Jusepy wyrwanych przez te masywne dłonie.

– Wiedz, Bakisie Fronte, że jesteś mniejszy niż mój mały palec u dłoni – mówiąc to, don Antine pokazał mu swój palec – i że mógłbym cię zniszczyć jednym słowem.

– Powodzenia! – krzyknął Bakis, a że nie mógł podejść do przodu, odwrócił ku niemu wzrok. – Co prawda jesteście bogaci, ale boję się was mniej niż moich własnych buciorów. Dziewczyna wróci do domu, bo inaczej strzeżcie się, strzeżcie!

– Ma dwadzieścia trzy lata. Prawo stanowi...

– Prawo stanowią ja i moja żona. Do diaska! Słuchaj pan uważnie, szanowny don Antine, wiedz pan, że została mi jedynie skóra i honor i, na Boga, z przyjemnością nadstawię to pierwsze, by zachować to drugie.

Don Antine uśmiechnął się z pełną litością słodczą:

– Aha, a zatem chcesz mnie zabić? Ty, Bakisie Fronte? Ale słuchaj, nawet jeśli ta sprawa, ta głupia sprawa, o której wszyscy mówią w okolicy, jest prawdą, jakie to ma dla ciebie znaczenie? Czyżby Jusepa była twoją córką?

– Jest córką mojej żony! A jej ojciec był moim przyjacielem; nakazał mi pewnego dnia: „Bakisie Fronte, kiedy umrę, stań się ojcem dla mojej córki”.

– Hm, i dlatego ożeniłeś się z jej matką? Ten poczciwy człowiek wiedział, że weźmiesz sobie jego żonę, tak? – rzekł don Antine ze złośliwością, która miała sprawiać pozory dobroduszości. Następnie usiadł. Poważny bieg, jaki przybrała rozmowa, znużył go; przesunął dłonią po swej tysej głowie, jak gdyby chciał przegonić natrętne myśli.

– Ożeniłem się z nią, bo to uznałem za słuszne i dlatego, że mi się podobała – odpowiedział tamten, nabierając odwagi pod wpływem zachowania szlachcica – a teraz cała wieś mówi, że nie nadaję się do sprawowania opieki nad jej córką, że nie potrafię wyrwać jej z domu, w którym pan nie patrzy już na nią jak na służącą, ale... jak na co innego. Ale spratem ją kijem i, na Boga, spiorę ją jeszcze raz, jeśli natychmiast nie wróci do domu!

– Niezły wyczyn, Bakisie Fronte! Kijem traktuje się dzikie zwierzęta. To tylko bzdury...

– Tylko bzdury! To dlaczego dziewczyna tak bardzo interesuje szanownego pana...

– Dlaczego? Bo jest świetną służącą, bo dźwiga na swych barkach cały dom, bo moja córka nie wyobraża sobie bez niej życia. I wreszcie, bo nie zważam na tych kretynów, nie pozwolę wygrać tym wężom... Dlaczego miałbyś mnie obchodzić ty, twoja pasierbica albo reszta świata?

Mówił teraz tak obojętnie, z taką pogardą, że Bakis poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod stóp.

– Jesteś zwyczajnym głupcem, Bakisie Fronte: nie wiem, nie rozumiem, jak możesz wierzyć w takie rzeczy. A przecież wyglądasz na mądrego człowieka.

– Mądrość i głupotę zsyła ludziom nasz Ojciec w niebie. Zresztą, drogi don Antine, musi pan wiedzieć, że głupota ma wiele twarzy, a u każdego jest ona inna.

– Dobrze mówisz, bardzo dobrze wręcz – odpowiedział szlachcic, wciąż trzymając rękę na głowie. – Jednak miałem rację: jesteś mądrym człowiekiem.

– Ale pan nie słucha, don Antine: głupota ma wiele...

– A zresztą ludziom nie zamknie się ust. Poza tym czy twoja pasierbica jest moją jedyną służącą? Ludziom nie zamknie się...

– Nie ma dymu bez ognia. Czy to prawda, czy nie, chcę tylko, by wróciła do domu. I to wszystko.

– Ale wtedy będą jeszcze bardziej plotkować. I lepiej niech plotkują. Zróbcie jedną rzecz, Bakisie Fronte: to nie są sprawy, o których powinni rozmawiać ze sobą mężczyźni. Przysłijcie tutaj żonę. Wyjaśnię jej...

– Ale przecież to mnie pan wezwał.

– Myślałem, że jesteś rozsądniejszy. A teraz...

Nie wiadomo, dlaczego wuj Bakis, który już wydawał się przekonany, poczuł, jak nagle gotuje mu się krew w żyłach; poczerwieniał i wybuchł:

– Chcę mieć ją w domu! Basta!

Jego głos brzmiał tak przerażająco, że Jusepa, która podsłuchiwała rozmowę za drzwiami, zbladła ze strachu.

– Ale teraz umyвам ręce – odpowiedział don Antine, wstając i udając, że przemywa sobie dłonie. – Sami się ze sobą porozumcie. Wezwałem cię, bo chciałem ci przekazać, że ani ty, ani twoja żona nie zamkniecie ludziom ust. Jusepa jest dla mnie jak rodzina. Nie chcecie wierzyć? Tym gorzej dla was... A zresztą sami dojdźcie ze sobą do porozumienia.

– Musi pan ją odesłać – odpowiedział Bakis, ścisząc głos, rozbrojony zimną obojętnością pana Antinego.

– Ja? Ależ nie ma mowy! Nie mam powodu, żeby ją oddalić. W niczym mi nie uchybiła; jest pomocna, lojalna, pracowita. Zawsze byłem z niej zadowolony.

– Jestem tego pewien – uśmiechnął się wuj Bakis i zaczął zbierać się do wyjścia. Chciał poprosić o możliwość widzenia się z Jusepą, a przy okazji natychmiast zabrać ją ze sobą, lecz zabrakło mu odwagi. Mimo gniewu czuł podskórny strach, stojąc tak samemu, w nocy, w tym potężnym i tajemniczym domu.

Naprawdę był podobny do matego palca dona Costantina. Przechodząc przez sień czuł, jak deszcz spada mu na kaptur. Tamtej nocy zaś Antonia, jak zawsze, poszła spać sama.

Najlepiej więc było zaczekać do jutra: może pasierbica przyjdzie wtedy do domu i padnie u nóg ich łózka.

Ani następnego dnia, ani nigdy później Jusepa nie opuściła jednak domu swego pana. Don Costantino, wdowiec, miał pięćdziesiąt lat i był najlepiej wykształconym człowiekiem w okolicy: mówił po angielsku i, jak szeptano po kątach, także po rosyjsku; przez całe pięć lat mieszkał też w Ameryce, dopóki rząd włoski, z jakiegoś powodu, nie zaczął go o coś oskarżać.

Sprawy te zostały mu jednak potem zapomniane, a don Antine wrócił w rodzinne strony.

Ci dowcipniejsi i złośliwi mieszkańcy wioski, którzy w plotkach szli na całość (albo i nie), powiadali, że miał dwieście piętnaście córek rozsypanych po całym Meksyku i Sardynii, lecz niewiele z nich wiedziało o swoim istnieniu, a spośród nich tylko Leledda została przez niego uznana. Była to złośliwa, źle wychowana i piękna dziewczynka. Dorastająca wśród fałszywych służących i ludzi nieznających słowa „delikatność”, w wieku dziesięciu lat Leledda wyrażała się źle o wszystkich, ztorzczyła każdemu, dręczyła zwierzęta oraz ludzi i sprawiała wrażenie osoby niespełna rozumu.

Pewnego wieczoru, leżąc na podłodze jadalni, z nogami w górze, pisała kredą swoje imię na czystych i gładkich panelach.

– Le-led-da! – wrzasnęła, kiedy zapisała już spory kawałek podłogi. Wstała, podskoczyła dwa czy trzy razy, zrobiła piruet, tupnęła nogami i wróciła do swego przerwane go dzieła.

Śpiewała przy tym na całe gardło:

– Le-led-da, Fran-ce-sco, Ma-ria, Giu-seppa-aaa... Ko-tek... skrzy-pecz-ki... wia-tra-ki... Ignazia-aaa...

Miała na sobie ognistożółtą sukienkę w wielkie czerwone kwiaty, rozdartą w kilku miejscach mimo nowości, a jej rozczochrane czarne włosy i błyszczące czarne oczy sprawiały, że wyglądała jak mała Cyganka, stworzenie z piekła rodem.

– Co ty, do diabła, robisz? – krzyknęła nagle wchodząca Jusepa. Spróbowała ją podnieść, ale Leledda wyrwała jej się z rąk, położyła się z powrotem na ziemi, przetłamała zębami kawałek kredy, który pobielił jej usta, i znowu zaczęła wrzeszczeć:

– Le-led-da... Ma-riaaaa, Igna-zia, Giovannaaaa, koza, sa-renkaaaaa.

– Skończysz z tym czy nie, ty paskudny potworze? – zdenerwowała się Jusepa, zaciskając zęby. – Żeby cię tak lisy zagryzły; twój ojciec leży w łóżku, źle się czuje, a ty wrzeszczysz? Skończysz z tym?

– Mój ojciec jest w łóżku – odpowiedziała zaraz Leledda – za to twój ojciec jest w piekle, a twój brat na galerach...

Chociaż Jusepa nie miała braci, zapomniała, że Leledda jest jeszcze dzieckiem i trochę wzoruje się na niej, wyrwała więc dziewczynce chusteczkę i ze złości wrzasnęła kilka razy. Następnie solidnie szturchnęła matą. Rozniosły się wrzaski i jęki nie do opisania; przybiegły pozostałe służące, a don Antine dopytywał się, co się, do diabła, dzieje. (Diabeł był niezbywalnym elementem słownictwa tego domu).

– Widzi pan? – krzyknęła Jusepa. – Najpierw mnie pomazała kredą, a teraz mówi, że ją biję, bo powiedziałam, żeby nie przeszkadzała ojcu.

Czyżby Leledda została oczerniona? Dziewczynka, z gulą w gardle, płakała cały wieczór, rozrywając sobie dalej sukienkę, ale nie odezwała się już tego dnia do nikogo ani słowem. Planowała zemstę. Nazajutrz zwróciła się do Marii Ghespe, brzydkiej służącej podobnej do jeżyny, skonfliktowanej z Jusepą:

– Obiecaj, że nie zdradzisz się przed nikim, a powiem ci, co widziałam.

– Żeby mi oczy wylazły...

– Nie, przysięgnij na coś innego.

– Żebym tak nie zobaczyła więcej własnej matki... – przysięgała służąca, wznosząc wzrok i kładąc dłoń na piersiach.

Leledda ściszyła głos.

– Widziałam, jak Jusepa całuje się z jakimś mężczyzną.

– Z kim, z kim, moja duszyczko? – dopytywała się Maria, cała drżąca z radości. Ale Leledda nie chciała jej już nic powiedzieć, mimo że służąca zaklinała się na tysiąc przerażających rzeczy.

– Powiedz mi chociaż gdzie, moja duszyczko. Żeby tak wszystko, czego dotknę, zmieniło się w kamień, jeśli komuś powtórzę...

– Nie.

– Powiedz, no powiedz, moja różyczko: zrobię od tej pory wszystko, czego będziesz chciała. Powiedz, gdzie...

I pochyliła się, nadstawiając uszu.

– No dobrze – odpowiedziała Leledda, która nie miała pojęcia, co mówi, a jedynie myślała – tutaj, w jadalni.

„Z naszym panem!” – pomyślała Maria gorączkowo.

Do jadalni na pierwszym piętrze nikt inny nigdy nie wchodził. Kiedy przychodzili goście lub gdy urządzano jakieś przyjęcie, obiad podawano na dole, w obszernym pokoju pełnym szaf i kredensów.

Maria Ghespe szybko rozniosła wiadomość, a po dwóch dniach cała wioska wiedziała już o wszystkim.

Antonia, matka Jusepy, sprawiała wrażenie martwej z bóleści; przyszła do dziewczyny i kazała ją zbić wujowi Bakisowi, lecz wszystko to nie zdało się na nic. Po dziwnej rozmowie biedaka z donem Antinem, *Pili Branda*⁵ (czyli Blond Czupryna), jak nazywano Jusepę, nie opuściła już domu swojego pana.

Minęło kilka tygodni.

Teraz nawet kamienie w wiosce wiedziały o wszystkim, a na Jusepę nikt nie wołał już po imieniu ani po nazwisku, ale zwracano się do niej z nutą sarkazmu, jak do jakiejś damy. Donna Jusepa idzie, donna Jusepa przyszła.

⁵ Określenie to również w tekście opowiadania wyróżnione jest jak określenia obcojęzyczne, a w nawiasie podane jest jego znaczenie w języku włoskim (które tutaj zostało przełożone na język polski). Pozwalałoby to przypuszczać, że zgodnie z intencją autorską zachowanie tego zwrotu w brzmieniu oryginalnym jest zabiegiem celowym, służącym zachowaniu sardyńskiego kolorytu lokalnego (przyj. tłum.).

To Maria Ghespe spopularyzowała ten przydomek. Przystając z każdą napotkaną kobietą, opowiadała, przymykając złośliwie oczy i bijąc się w piersi:

– Nosi się jak dama, wyobrażasz sobie? Chodzi w spódnicy z falbanką i bluzie w kratkę z kokardkami, ta cała donna Jusepa. Strasznie się szarogęsi, wyobraź sobie, że każe sobie przynosić kawę do łóżka.

– Co też nie powiesz, sąsiadko... Ożeni się z nią?

Tamta się zaśmiała, wysunęła grube, szkarłatne usta i splunęła.

– Jak ja się ożenię z papieżem.

A ciotka Antonia wciąż próbowała się czegokolwiek dowiedzieć i bardzo cierpiała. Skulona przy palenisku pełnym popiołu, płakała z żalu dniami i nocami; nie jadła, nie spała, nie wychodziła z domu; a kiedy nagle potrzeba zmuszała ją do wyjścia, starannie zakrywała głowę, ramiona i piersi czarną wełnianą chustką, tak że wystawał jej tylko czubek nosa.

Za każdym razem, gdy wuj Bakis wracał z wioski, pytał głuchym głosem:

– Przyszła?

– Nie – jęczała Antonia i złorzeczyła jak zaklęta, przeklinając dzień, godzinę, minutę, kiedy Jusepa przyszła na świat. Przeklinała mleko, którym ją karmiła, pieluszki, którymi ją owijała... i tak przez długie godziny.

– Wybiję mu wszystkie krowy, podpalę pastwiska, strzelę mu prosto w twarz – krzyczał wuj Bakis.

I nabijał strzelbę, ostrzył nóż, po czym wychodził z najgorszymi możliwymi zamiarami.

Pewnego dnia Maria Ghespe przyszła do domu państwa Fronte pod pretekstem pozyczenia odrobiny drożdży.

– Do wszystkich diabłów – warknęła ciotka Antonia z błyszczącymi oczyma – zrób mi tę przyjemność i zejź mi z oczu. Wyjź.

– Wasza córka jest chora; złości cię to, moja pani? – syknęła żmija, śmiejąc się grubiańskim śmiechem i uciekła, a ciotka Antonia wrzeszczała za nią:

– Tylko tu się pokaż, a połamię ci czaszkę kijem; wróć tylko, a podam cię do wójta... Wydrapię ci oczy...

Kiedy została sama, rozplakała się z rozpacz. Och, doskonale rozumiała, co Maria Ghespe miała na myśli, mówiąc, że Jusepa jest chora; tego już było za wiele, stanowczo za wiele!

Od tamtej chwili w jej głowie zagnieździła się jedna myśl: żeby wejść do domu dona Antinego, porozmawiać z Jusepą i zbesztać ją, wykląć, podrapać, wyrwać jej włosy i wylupić oczy. Trzeba było jednak zaczekać na nieobecność jej pana i zaprzyjaźnić się z Marią Ghespe, aby pomogła jej wejść do tego przeklętego domu.

Biedna kobieta musiała zastosować wiele sztuczek i poddać się wielu upokorzeniom, ale udało jej się dokonać tego zadania; i pewnego wieczoru pod koniec marca donna Jusepa ujrzała, jak jej matka stanęła przed nią niczym zjawą. Bardzo się wystraszyła, zwłaszcza że pana nie było w domu; zdawało jej się, że serce wywróci jej się w piersiach, gdy na chwilę zamarło, a potem znowu poczęło gwałtownie bić. Ale była to tylko chwilka.

„To sprawka Marii Ghespe” – pomyślała – „policzę się z nią”.

– Ach, mamusi! – krzyknęła, wychodząc jej na spotkanie.

Ciotka Antonia nawet nie zauważyła poruszenia Jusepy i zamarta w progu jak spalizowana pod czarną chustą, która zakrywała jej głowę i piersi. Mój Boże, cóż miało znaczyć to wszystko, co widziała? Nigdy nie była w domu dona Antinego i zapomniała o entuzjastycznych opisach, jakimi raczyła ją córka na początku swojej służby. Teraz olbrzymi, malowany pokój, z kredensami wypełnionymi kryształami obijającymi światło z okiennic, w których błyszcząły stare porcelany, biżuteria i drogocenne szkło, przywodziły jej na myśl kościół.

Początkowo ogarnęła ją podziw dla Jusepy: nie wyglądała już jak jej córka. Ubrana jak wielka pani, z odkrytą głową, z przepięknymi blond włosami odstanającymi czoło i kark, była postawna i zarumieniona na śnieżnobiałej twarzy, a jej oczy błyszcząły jak kryształy w kredensie; cerowała pończochę niczym prawdziwa dama.

Ciotka Antonia nie wiedziała, co ma powiedzieć i nawet się nie spostrzegła, a po chwili siedziała już za wielkim stołem z rzeźbionego orzecha włoskiego, w którego wypolerowanej powierzchni mogła zobaczyć odbicie własnego nosa. Donna Jusepa także usiadła przy stole i wróciła do przerwanej pracy; czerwieniła się gwałtownie na myśl o wpatrzonych w nią ptasich oczach matki; w rzeczywistości jednak te ptasie, czarne, małe, wpatrzona, zapadnięte, zdumione oczy przyglądały się tylko pierścienkom i kolczykom z turkusowymi kamieniami, które miała na sobie jej córka.

– Skoro ty nie chciałaś do nas przyjść, to ja przyszłam... – zaczęła matka.

– Na litość Boską, niech mi mama nie zawraca głowy, przecież nie mam czasu – przerwała dziewczyna, mówiąc szybko, choć z nutą zmęczenia. – Wszystko jest na mojej głowie, haruję jak wół, ani chwili oddechu, nie mam kiedy odpocząć... Założyłam tę bluzkę po nieboszczce pani, niech jej ziemia lekką będzie, bo załują mi tu nawet koszuli. Wszystkie moje koszule, co za wstyd – tu udała, że drze tkaninę – całe podarte... Wszystko robię sama... dużo jest tutaj do roboty... a reszta, niech jej piekło porwie, nic nie robi.

A żeby to udowodnić, krzyknęła:

– Maria! Mario Ghespe!

Maria, która z pewnością je podstuchiwała, natychmiast wychyliła swoją brzydką twarz zza drzwi. Jusepa parsknęła opryskliwie:

– Przynieś kawy. Zaparzyła się?

– Tak, proszę pani – rzekła druga unizonym tonem.

Ciotka Antonia się skrzywiła i otworzyła usta. One traktowały Jusepę jak panią domu? W takim razie ta kobieta przed nią nie była jej córką; kim zatem była? Prawdziwą donną Jusepą? Panią tego domu? Żoną dona Antinego?

„Niech mnie diabli wezmą, czyżbym postradała zmysły?” – myślała biedaczka. Odsunęła się trochę od krawędzi krzesła, jej ręce rozluźniły się łagodnie pod chustą. Oczy zwęziły się jeszcze bardziej, a usta otworzyły szerzej, lecz żadne słowa nie przechodziły jej przez gardło.

Wśród tykania srebrnych zegarów Jusepa dalej lamentowała, nabierając animuszu pod wpływem podziwu matki. Och, znała doskonale ten czar, ten blask roztańczający się z bogatych i dokładnych opowieści, tę magię, która oczarowywała biedaków jak przeklęty sen.

Chwilami jednak ciotka Antonia przypominała sobie nagle, po co przyszła: pod tymi falbankami i kokardami przy bluzce, pod kolczykami i pierścionkami z turkusowymi kamieniami poznawała swoją córkę i cała krew odpywała jej z serca, przyprawiając ją o niepokój i bolesne rozdrażnienie. Potem poczuła gorące pragnienie, by wstać, spoliczkować tę damę, otworzyć nożyk trzymany w kieszeni i wbić jej go między oczy, ale nie potrafiła, o nie!

Coś dziwnego, niewidzialnego ją powstrzymywało; podziw dla wszystkich darów Bożych, których jej córka zdawała się panią, i dziwne uczucie, ogarniające ją po chwili, że ta kobieta, którą widziała przed sobą, to nie była Jusepa.

Nie, to już nie była Jusepa – to była *donna* Jusepa.

Podano kawę w cieniutkich porcelanowych filiżankach; na emaliowanej tacy leżały zdobione srebrne łyżeczki, ciężkie jak maczugi.

Ciotce Antonii nawet się nie śniły podobne luksusy. Kawa była zresztą wspaniała, na srebrnych łyżeczkach błyszczała jak płynny rubin.

Stopniowo Jusepa zaczęła się spinać, przybierając jakąś dziwną pozę. (Maria Ghespe, która nie miała odwagi nawet podnieść wzroku, w myślach pokazywała kobietom figę⁶, mówiąc do siebie: „A to ci dopiero, wystroiła się jak makaron na talerzu! I jeszcze ta głupia baba...”).

A ta głupia baba czuła rosnący w środku gniew, narastającą złość na swą niemoc wobec tego otoczenia i póź *donna* Jusepy.

– Niech mama przychodzi tutaj – powiedziała dziewczyna, najpierw nieco nieśmiało, potem z lekka protekcyjnie – niech mama przychodzi, bo ja nie mogę stąd wychodzić. Smakuje mamie kawa? – przelata ją pod światło z łyżki do filiżanki – przywieźli ją z kraju⁷, wie mama, tutaj nie można dostać dobrej kawy!

„Tak, jest lepsza od mojej” – pomyślała ciotka Antonia ze smutkiem, myśląc o swojej kawiarni pełnej sady, w której gotowała dwa ziarenka kawy i trzy jęczmienia na pół litra wody.

Po kawie Jusepa wstała i wciąż cerując pończochę, zaproponowała:

– Chodźmy, mamó, pokazę dom. Nigdy tu mama nie była. Proszę.

– Twój pan się pogniewa... – zasugerowała ciotka Antonia. Potem zarumieniła się na dźwięk swoich słów, a Jusepa też się zaczerwieniła, lecz zaraz odpowiedziała pewnym głosem:

– Pana dzisiaj nie ma. A zresztą...

Wzruszyła ramionami i poszła dalej.

⁶ ...pokazywała *im figę* (oryg. *fare le fighe*) – idiom oznaczający robienie gestu polegającego na zaciśnięciu dłoni w pięść tak, aby kciuk znalazł się między palcem wskazującym a środkowym. Ten wulgarny gest, symbolizujący stosunek seksualny, wykonywany był w charakterze pokazania sprzeciwu i pogardy (przyp. tłum.).

⁷ ...z *kraju* (oryg. ...*dal continente*) – czyli z Półwyspu Apenińskiego (w odróżnieniu od wyspy Sardynia, na której rozgrywa się akcja opowiadania) (przyp. tłum.).

„Tu jest jak w niebie!” – zachwycała się w myślach ciotka Antonia, bijąc się w piersi pod swoję dziwną chustą. Miejscami, w niektórych pokojach, w których znajdowały się stare zwierciadła, malowidła olejne i inkrustowane meble, miała dziwną ochotę paść na kolana.

Ale schodząc po drewnianych schodach, trochę po omacku, przypominała sobie znowu, po co przyszła. Odezwała się:

– Jusepo, czemu właściwie nie wrócisz do domu, co? Nie wystarczy, że...

I już miała podnieść głos, ale młoda dziewczyna otworzyła drzwi stodoły i udając, że nie usłyszała matki, powiedziała:

– Tutaj nikt nie wchodzi poza mną, wie mama?

Ciotka Antonia znowu poczęła bić się w piersi, zatrzymawszy się w oświetlonych drzwiach. Jezusie! Maryjo! Józefie! Co za dary Boże, co za przepych, co za cudowności, co za bogactwa! Stosy jęczmienia koloru żółtego złota, stosy zboża barwy różowego złota, stosy olbrzymich popielatych ziaren fasoli, sterty granatowej fasoli, białej niczym masa perłowa, różowej nakrapianej fioletem, fioletowej nakrapianej czerwinią, żółtej zbryzganej czernią; kopy ziemniaków, które już zaczynały wypuszczać kiełki – można by tym wykarmić całą wioskę przez rok!

Od pokoju do pokoju, przechodząc przez piwnicę i spiżarnię, Jusepa zaprowadziła matkę do garderoby. Tam zaczęła otwierać na oścież i pokazywać wszystko: pościel, tkaniny, sukienki, kostiumy, *panni di spiga*⁸, czyli długie płachty płótna, w które zawija się chleb, żeby wyrósł, obrusy, serwety, ręczniki, prześcieradła...

Jusepa stała wyprostowana, objaśniała wszystko pewnym siebie głosem i ze znanstwem – pończocha zwisała jej przy boku – składała i rozkładała tkaniny niemalże z pogardliwą nonszalancją. Zdawało się, że chciała powiedzieć:

„Znam to wszystko... hej, to nie pierwszy raz, kiedy widzę te rzeczy! To wszystko moje, widzi mama? Mogłabym to wrzucić w ogień, a i tak nikt mi ani słowa nie powie... Mogę nosić te suknie... To ja jestem tutaj panią...”

– Ile tu kurzu! – narzekła zamiast tego głośno, trzepiąc pachnące kamforą obrusy. – Widać, że nie ma tutaj pani. Gdy tylko Leledda urośnie, jak Bóg da, przejmie stery. Teraz trzeba się co najwyżej cieszyć, jeśli nikt nie kradnie. Dobrze, że ja jestem i mam nad tym pieczę; inaczej codziennie robiliby sobie imprezy... Patrzy mama, to zbożowa tkanina.

Był to kawałek cieniutkiego żółtego materiału, takiego, jakiego na wsi używa się do damskich gorsetów. Był wspaniały, gładki, świetlisty – przypominał promień słońca.

Dwie kobiety długo mu się przyglądały. Ciotka Antonia poczuła, jak palce jej drżą na myśl o wzięciu tego materiału w ręce, a Jusepa gwałtownie zaprzęgnęła zaproponować: „Weźmie to sobie mama!”

Ale było na to za wcześnie. Dziewczyna delikatnie włożyła tkaninę z powrotem, a ciotka Antonia ostrzegła ją, aby dobrze zamknęła szafę i ostrożnie trzymała, żeby... żadne złe ręce jej nie dotykały.

⁸ Podobnie jak w przypisie piątym, określenie to, które również w tekście oryginalnym zostało wyróżnione jako wyrażenie sardyńskie (a tym samym niewystępujące w ogólnej odmianie języka włoskiego), zdecydowano się zostawić w brzmieniu oryginalnym (przyj. tłum.).

– Popatrz, wypadła ci wstążka, o tutaj – zauważyła po chwili, schylając się. Podniosła lekko znoszoną fioletową wstążkę w złote kwiaty i poczęła się jej przyglądać, unosząc ją w stronę światła.

– Tak – odpowiedziała Jusepa, wyprostowana najbardziej, jak tylko mogła, z wyciągniętymi rękoma, wkładając obrus na najwyższą półkę w szafie – tak, państwo chodzili w tym ubraniu. Donna Caderina, matka pana, nosiła przy gorsecie złote guziki z diamentami. Widziałam je. Wie mama, jak wygląda diament? Przypomina szkło, kiedy się mu przygląda, ale w nocy błyszczy jak kocie oczy. Ubrania donny Caderiny muszą być tutaj, sprawdźmy... Poczekaj mama, poszukam... Gdzieście się, u diabła, schowały? – I szukała.

– Spójrz na tę wstążkę, która ci wypadła... Nadałaby się na pasek do spódnicy... Mój jest już cały zużyty...

– Włożę to tutaj, mama zaczeka... Zdaje mi się, że tutaj jest gorset...

Kłęcząc na ziemi, szperała w szufladach, a ciotka Antonia wciąż trzymała w dłoniach fioletową wstążkę. Jusepa, nie mogąc znaleźć gorsetu donny Caderiny, coraz bardziej się denerwowała, zaś w pewnej chwili, dostrzegłszy, że jej matka odkładała z żalem wstążkę, warknęła szorstko:

– No, weźmie ją sobie mama wreszcie! Wielkie mi mecyje!

Ciotka Antonia zwlekała, krygowała się, ale ostatecznie wzięła delikatnie wstążkę i schowała ją sobie między piersiami.

W ten sposób państwo Fronte zmienili skórę⁹.

Jakiś czas później, pewnego wieczoru Maria Ghespe oznajmiła Leleddzie:

– Dzisiaj rano Antonia Fronte przyniosła ze sobą pustą butelkę, a wyszła z butelką pełną oliwy. Powiedz ojcu, to się zdziwi!

Leledda powiedziała mu o tym, lecz po tym zdarzeniu don Costantino uznał za słuszne wystać ją na pensję, gdzie obecnie dziewczynka codziennie wdaje się w jakieś awantury.

⁹ W ten sposób państwo Fronte zmienili skórę (oryg: *Fu così che i Fronte cambiarono pelo*) – określenia *cambiare pelo* używa się najczęściej w odniesieniu do zwierząt, które sezonowo zrzucają część sierści (np. niektórych gatunków psów, kotów, królików etc.). W przypadku ludzi należałoby odczytywać je w kategoriach ironicznych (przyp. tłum.).

Chełm, 25 marca 1946r.

Szanowny Kolego!

Dziękuję za pamięć. Ponieważ nie zorientowałem się Pan, jaki zakres będzie miała antologia (okresy, kierunki, poeci), przysyłałem większą liczbę przekładów, prosząc o odesłanie tych, z których Pan nie skorzysta. Ciekaw jestem, czy "poród" tej antologii będzie tak samo ciężki, jak rosyjskiej trwający już blisko od roku.

Podzielałem Pańskie uwagi o rymach. Przyboś zajmie stanowisko zbyt krótkowe. Rzecz wymagałaby szerszego omówienia i "Kamena" chętnie by rozważania na ten temat zamieściła. A może Pan by coś napisał? Tak samo wiersze i przekłady. Dobrze, że Łódź ma "Kuźnicę", ale "Kamena" ma charakter specjalny i wszyscy poeci mogliby się tu spotkać.

W najbliższym numerze "Kamena" znajdzie się nota w związku z obiekcjami A. S-rę co do wystawienia przez Szymana "Lilli Wenedy". Nie chciałbym, aby pewien ustęp w tej notcie (był przez Pana źle zrozumiany. Nigdy nie leży w mojej intencji sprawienie komuś przykrości (uwaga w nawiasie zresztą, o tym wyraźnie mówi) - inaczej niż pewien poeta z "Kuźnicy", który nie wiem dlaczego wtyka mi szpileczki. W tym wypadku chodziło mi tylko o pewne sugestie A. S-rę. Uważałem, że na tak wielkiej uroczystości, jak otwarcie pierwszej sceny w stolicy, należałoby wystawić sztukę klasyczną, nie współczesną, i myślałem, że wybór nie był złym.

"Kamena" przesyłałem Panu. Macie rację w "Kuźnicy": kolportaż "Czytelnika" jest okropny.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia.

Kajaworski

List Kazimierza Andrzeja Jaworskiego do Seweryna Pollaka, Muzeum Józefa Czechowicza w Lublinie